Rok 1936. 6 września Nr. 36.

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Jak teraz pisać będziemy.

Język każdego narodu tworzył się w ciągu długich wieków, coraz to bardziej rozwijając się, kształtując, wyrabiając —' i można powiedzieć — czynność ta nie ustanie, dopóki naród mówiący jakimś językiem żyć i rozwijać się będzie. Z wymarciem narodu dopiero kończy się i rozwój języka, jak to widzimy na łacinie, czyli języku dawnych Rzymian i na mowie starożytnych Greków. Oba te języki są już martwe, nic im z biegiem czasu nie ubywa, ale też nic nie przybędzie. Jak się uczyli łaciny i mówili nią nasi pradziadowie za czasów Polski królewskiej, — takiej samej łaciny uczyć się będą nasi wnukowie, gdyż jest język ten jakby zakrzepły w swej dawnej, przedwiekowej formie.

Co innego język żywy. Inaczej zatem wyglądała polszczyzna za czasów Kazimierza Wielkiego, inaczej już za Sobieskiego, a jeszcze inaczej mówią Polacy dzisiejsi. Jedne rzeczy, pojęcia, wyrazy, odpadły albo zmieniły się, inne przybyły, rozwinęły się, przerobiły ze starych, albo z obcych zupełnie, mimo, że pień języka został — niby praojciec wszystkich konarów, gałęzi, liści i listeczków tego samego drzewa.

W pewne karby, reguły, prawidla obejmuje każdy język jego gramatyka, która co pewien czas reguluje to, co się popsuło, bezprawnie zajęło w nim miejsce, przestarzało, stało się zbyteczne i t. p.

Język polski należy do najtrudniejszych i rzadko kiedy cudzoziemiec umie posiąść go tak, aby posługiwać się nim jak swoim własnym. A chociaż nawet owładnie nim doskonale, często jeszcze sama wymowa zdradzi go, że nie jest Polakiem; gdy przeciwnie — Polak tak umie nagiąć swoje usta do każdego języka, że mu żaden nie sprawia trudności. Jest to dowodem, jakiej giętkości wszystkich narządów mowy wymaga szczególnie język polski.

Zarówno trudną jest i jego pisownia. A trudną jest już nietylko dla obcych, lecz i dla swoich, tak, że trafiają się nawet między ludźmi inteligentnymi tacy, którzy robią błędy w pisowni. Tembardziej, że była ona dotychczas niejednolita.

Opiekę nad czystością języka zarówno w mowie jak w piśmie, sprawują władze oświatowe z Akademją Umiejętności na czele.

Właśnie świeżo opracowała ta instytucja nowe prawidła dla polskiej pisowni, aby ją ujednostajnić i oczyścić z wszystkich naleciałości, jakim z biegiem czasu podlegała. Zaszły więc w niej pewne zmiany, które należy poznać i zastosować w pisaniu, gdyż obowiązuje ona wszystkich w państwie już od nowego roku szkolnego. Zmiany te nie są nadzwyczajne, ani nie ma ich zbyt wiele, a najgłówniejsze dadzą się ująć w trzy punkty.

A więc, pisanie dotychczas prawie dowolne w różnych wyrazach **i** lub **j**, ujęte zostało w następujące reguły: po **c**, **s**, **z** pisze się **i** jeżeli słyszymy w wymówieniu tych wyrazów jakby ć, ś, ź, — np. babcia, Basia, jezioro (a nie babcja, Basja, jezjoro).

Natomiast **j** pisze się wtedy, gdy w wymówieniu słów słyszymy jakby cj, sj, zj — n. p. racja, pasja, Azja (a nie racia, pasia i Azia).

Również pisze się **i** po następujących spółgłoskach: b, p, w, f, m, n, d, t, r, l, ż, dż, g, k, h, ch. Wyjątek stanowią słowa, które mają przedrostek: nad, ob, pod, przed, w. A zatem pisze się: nadjechać, objąć, odjąć, podjechać, przedjesienny, wjazd i t. d. Jeden tylko „obiad“, chociaż ma przedrostek ob, należy pisać przez **i**, gdy już czasownik „objeść“ przez **j**.

Tak więc może wyglądać poprawnie napisane zdanie:

Podjechałem do niego, objąłem go czule, objaśniłem skąd nadjeżdżam i poprosiłem na obiad do siebie, lecz on wymawiał się bardzo, mówiąc, że na poprzedniej stacji objadł się już zanadto rybami złowionymi w tamtejszym jeziorze.

(Następna lekcja za tydzień).

Na Narodzenie N. Marji Panny.

(Z wierszyków małej góralki z Zawoi).

Dzisiaj świat cały wita Jutrzenkę,
Która dzień jasny zwiastuje,
W dniu Narodzenia Marii Panienki
Niebo się z ziemią raduje.

Niebo się cieszy, że weszła Gwiazda,
Co najjaśniejszy blask sieje —
Dziecina czysta, niepokalana,
Co wśród aniołów jaśnieje.

Nad Jej kolebką niema łzy smutku,
Adama grzech jej nie rani,
Chóry aniołów hymn Jej śpiewają —
Wszyscy my Twoi poddani.

Ziemia dziś wita ranną Jutrzenkę,
Z której się Słowo narodzi,
Ta będzie Matką Syna Bożego,
Który nas z Ojcem pogodzi.

W tym to dniu szczęścia Święta Dziecina
W milczeniu do nas się zwraca:
Cieszcie się, wszystkie dzieci Adama,
Wasza niedola się skraca.

Witajże wśród nas, mała Dziecino,
Tyś Matką Boga i ludzi,
Tyś jest przeczysta, Niepokalana,
Grzechu Cię plama nie brudzi.

Bolesława Zimmermanówna.

Kurpie i ich puszcza.

Jak wiadomo, Polskę zalegały przed wiekami olbrzymie bory, nieprzeniknione puszcze, w których żyły w wielkich ilościach dzikie zwierzęta. Miewali w nich i ludzie swoje osady, czując się tam bezpieczniej, niż na otwartych przestrzeniach, gdzie każdej chwili mógł wpaść nieprzyjaciel, spalić, wymordować lub zabrać w niewolę. Odwieczne knieje nadawały owym stronom kraju szczególnie poważny, tajemniczy wygląd. Panował w nich wieczysty półmrok, gdyż wierzchołki gęsto rosnących drzew splatały się z sobą, tworząc cieniste gęste sklepienie, przez które nie mogły przebić się do wnętrza promienie słoneczne.

I rosły sobie tak owe drzewa swobodnie całemi wiekami, dopóki jakaś straszliwa burza huraganowa nie zwaliła zmurszałego pnia, wyrywając go z ziemi wraz z korzeniami, albo piorun nie strzaskał mu dumnej korony.

Nic dziwnego, że w takich dzikich ostępach gnieździły się i mnożyły zwierzęta, których polowania ludzkie nie wyniszczały doszczętnie, jak to się działo później, gdy puszcze zaczęto przerzedzać, a następnie wycinać masowo.

Puszcz takich było w Polsce wiele, zarówno w górach, jak i na nizinach. Do najważniejszych należały: Niepołomicka pod Krakowem. Świętokrzyska w Kieleckiem, Kozienicka w Ra-

domskiem, Kampinowska pod Warszawą, Białowieska w Grodzieńskiem i Kurpiowska w ziemi Mazowieckiej, zwana też Myszyniecką. Ciągnęła się ona niegdyś nieprzerwanie wzdłuż rzeki Narwi i nad jej dopływami Pissą i Orzycem, zajmując olbrzymią przestrzeń między dzisiejszymi miastami Nowogrodem, Kolnem, Ostrołęką, Myszyńcem, Przasnyszem, Chorzelami. Przerzynały ją jeszcze mniejsze rzeczki, i kryło się w niej kilka dużych jezior, bogatych w ryby, które dzisiaj, powoli wysychając, zamieniają się w bagna.

Różne wykopaliska, ślady dawnych osad, grodzisk i cmentarzysk świadczą dzisiaj, że puszczę zamieszkiwały w bardzo dawnych czasach, jeszcze przed Piastami, plemiona lechickie i one to były pra-pra-praojcami obecnych Kurpiów. Sami siebie nazywali oni zawsze i nazywają puszczakami.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Jedno z najstarszych drzew puszczy — odwieczny dąb, po długoletnim życiu wśród niezliczonej gromady swych braci, zwalony prawdopodobnie przez burzę w nurty Narwi, przeleżał się tam setki lat. Wiele musiano zużyć trudu, nim go z rzeki wydobyto i dużo jeszcze nakłopocą się nad porznięciem tego dębowego kloca, którego drewno stało się w wodzie aż czarne, a twarde, niby stal.

Mściciel z Zameczka.

POWIEŚĆ. Napisał Marjan Warta.

(Ciąg dalszy)

Nareszcie Józef dał pierwsze znaki życia.

Matka uszczęśliwiona pewnością, że syn odzyskał przytomność, opatrzyła mu ranę na tyle głowy, poczem przebrała młodzieniaszka, którego twarz była bez zarostu jeszcze, w ubranie kobiece, by w razie nowego zjawienia się nieprzyjaciela, nie znaleziono w jej domu rannego wojownika.

Przez ten czas Weronka z pomocą mnóstwa wody zacierała ślady krwi na trawie, dokoła głazu, zamykającego wnijście do tajemniczego lochu.

Gdy już wszystko było gotowe, przeniesiono na materacu bezsilnego Józefa w ubraniu niewieściem do sypialni matki i ułożono na łóżku.

Krwi nie dało się jeszcze zatamować i bandaże na głowie całe się zaczer-

wieniły. Trzeba było więc ranę opatrzyć na nowo, co sprawiło choremu wiele bólu.

Upłynęło jeszcze kilka godzin, zanim ranny o tyle siły odzyskał, by mógł z matką, choćby w kilku słowach prowadzić rozmowę.

— Wolę znać najgorszą prawdę — pomyślała pani Marta — aniżeli męczyć się w tej strasznej niepewności.

Nachyliła się nad łóżkiem chorego i odezwała się cicho:

— Powiedz mi, synu, wszystko... Nic nie taj... Mów, Józefie... Ojciec w niewoli?...

Chory przymknął oczy, a twarz jego powlokła się okropnym smutkiem.

— Powiedz, żyje ojciec?

Obandażowana głowa rannego drgnęła lekko, ale w tym ruchu nieznacznym pani Marta wyczytała wyraźne zaprzeczenie.

— Zginął — krzyknęła — Tomasz mój zginął.

Usta chorego poruszyły się niespokojnie. Matka nachyliła się ku nim bliżej, a wtedy wargi Józefa zaczęły się trząść, aż wymówiły szeptem jeden wyraz:

— Boliwanow...

— Co mówisz, dziecko, co? — pytała, starając się zrozumieć.

— Boliwanow — powtórzył Józef.

— Z ręki Boliwanowa zginął twój ojciec?

Słabe skinienie głową potwierdziło pytanie.

— Sąsiad Boliwanow zabił mi męża — jęknęła nieszczęśliwa kobieta, — chwytając się za głowę. — Synu, czyś ty pewny, czyś ty to widział?

Józef w odpowiedzi, zacisnął pięść, uniósł ją nieco nod kołdrą, potrząsając groźnie przy słabym blasku nocnej lampy.

Matka szlochała cicho na klęczkach u stóp łóżka i tylko chwilami z ust jej padały urywane słowa:

— Tomasz, mój najdroższy Tomasz.

Nagle zerwała się z kolan, stanęła przed Józefem i patrząc mu w otwarte oczy, krzyknęła:

— A twoi bracia?

Chory przymknął powieki.

— Mów, powiedz wszystko, synu. Do niewoli ich zabrali... obu do niewoli?

Znowu prawa ręka chorego młodzieńca zacisnęła się w pięść grożącą, a wargi szeptały:

— Boliwanow... Boliwanow...

— On ich pojmał?... Znowu on.

Ranny nie mógł mówić, ale gestami starał się zaprzeczać słowom matki. Ta zrozumieć go jeszcze nie mogła, więc się znów bardziej nad nim nachyliła, badając:

— Co, dziecko? — nie dostali się do niewoli? Który z nich? Ludwik, nie?... Więc Jan jest jeńcem moskiewskim...

Chory skinął potakująco.

— A Ludwik?... Co się dzieje z Ludwikiem? Zmiłuj się, powiedz... Zabity wraz z ojcem?

— Boliwanow... mruknął przez zęby Józef, potrząsając pięścią.

Matka chwyciła się za serce i z okropnym jękiem zsunęła się na kolana do stóp łóżka.

— Męża mi zabił, najstarszego syna mi zabił, drugiego wziął do niewoli... on Jerzy Boliwanow... sąsiad z zameczka... Czyż podobna... Boże, nie opuszczaj mnie, sił mi dodaj.

Wtem ranny poruszył się gwałtownie

— Zemszczę się, matko — jęknął — zemszczę się za ojca, za braci.

I omdlały opadł na poduszki.

Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadka.

Jest pewien lud, stąd nie blisko, dziwne jakieś ma nazwisko, bo się zbiegły, jak na piknik, trzy zaimki i wykrzyknik.

KWADRACIK MAGICZNY.

1	K			O
2				
3				
4	O			K

Rząd poziomy 1-szy i 4 czwarty (wstecz), tudzież pionowy lewy (z góry na dół) i prawy (z dołu do góry) — jedno dają, końcowe u każdego pojazdu, ale środek trzeba wypełnić samemu.

Rozwiązanie szarady z n-ru 34.

bary, tory, ryba, ba, to — Batory.